

PRENUMERATA: w Warszawie kwartalnie 2 ruble (za odosobnienie do domu dopłaca się 10 kop. kwartalnie), z przesyłką pocztową kwartalnie 2 ruble 25 kop.

OGŁOSZENIA: wiersz nonparelowy lub jego miejsce na 1-ej stronie przy tekście lub w tekście 1 rub.; na 1 stronie okładki 60 kop.; na 2-ej i 4-ej stronie okładki oraz przed tekstem 30 kop.; na 3-ej stronie okładki i ogłoszenia zwykłe 25 kop.; Kronika towarzyska, Nekrologi, Nadeśtane po 75 kop. za wiersz. Marginesy: na 1-ej stronie 10 rub., przy Nadeśtanach 8 rub.; na ostatniej stronie 7 rub. i wewnątrz 6 rub. Artykuły reklamowe 175 rubli za stronę.

Adres Redakcji: WARSZAWA, ZGODA № 1.
FILIA W ŁODZI: Biuro dzienników i ogłoszeń
„PROMIEN”, Piotrkowska № 81.

ŚWIAT

Rok XII. № 15 z dnia 14 kwietnia 1917.

Wydawcy: Akc. Tow. Wydawnicze „ŚWIAT”. Pod kierownictwem naczelnym Stefana Krzywoszewskiego.



Franc. Tow. Ubezpieczeń na Życie
„L'URBAINE”

Ułgi na wyp. niezdz. do pracy
Filja dla Kr. P. Marszałk. 136

9967 Oddział miejski: ulica Moniuszki Nr. 2.
Biuro Kijowskie: Kijów, ulica Kreszozatik Nr. 45.
Wilno, róg Ś-to Jerskiej i Kazańskiej Nr. 9.

Upraszamy o wczesne nadsyłanie przedpłaty na kwartał
II-gi r. b., celem uniknięcia zwłoki w wysyłaniu pisma.

Administracja „ŚWIATA”.

Stolica św. a strony wojujące.

W pogoni za sprzymierzeńcami, mocarstwa wojujące próbują wciągnąć w zakres własnych kombinacji politycznych jedne po drugich państwa neutralne. Rzecz prosta, że przytem nie zostawiono na ostatnim planie Stolicy Św. Mocarstwo to, nierozporządzające wprawdzie oddziałami podwodnymi i karabinami maszynowymi, ale mocniejsze od najlepší uzbrowionych, bo ogarnia swym wpływem 200 milionów ludzi. Już w początku wojny probowano usilnie ze strony francuskiej skłonić Kuryę do opowiedzenia się po stronie koalicji. Użyto nawet teroru: grożono oderwaniem od Rzymu i kościołem narodowym. Później sfarano się wysrubować incydent kardyn. Mercier dla uzyskania pożądanej interwencji. I mocarstwa centralne nie leniły się w wynajdowaniu okazji i środków dla spowodowania zwrotu na własną korzyść.

Gdy jedne i drugie usiłowania zawiodły, spotykamy się obecnie z nową taktyką. Wrogie obozy zdają się podawać sobie ręce, rzucając w świat to samo hasło, choć każdy wysnuwa z niego odmienny wniosek na własną korzyść. Stugębna fama głosi światu nad Sekwaną i nad Spreą, że Stolica Apostolska zmieniła front, przechylając się na stronę koalicji. A dlaczego? Odpowiedź łatwa. Podczas wojny zmniejszyło się świętopietrze. Kurya znalazła się w kłopotach finansowych. Wtedy Francja przyszła z pomocą, kosztem pięciu milionów pokryła niedobory, a wzamian, rzecz prosta, zażądała zmiany linii politycznej.

W grze dyplomatycznej zmyśle nie jest środkiem pożytecznym i wiążącym do celu. W danym wypadku bajeczka pomaga koalicji do podniesienia ducha i samopoczucia w środowiskach katolickich, służąc jednocześnie katolikom niemieckim do wywierania nacisku na Kuryę z powodu rzekomego pogwałcenia neutralności. O prawdę nie szło nikomu.

A jednak godziłoby się może jej poszukać. Godziło się przedewszystkiem katolikom, uznającym w Stolicy Piotrowej autorytet. Ale nietylko katolikiem trzeba być na to, by w Papieżu widzieć coś więcej nad jakąś dykasteryę, którą można kupić za mniejszą lub większą łapówkę. Gdyby nawet mężowie, sterujący watykańskiej polityce z tak lichego ula ni byli kruszcu, rozum i doświadczenie (a tych nikt dotąd Kuryi nie odmawiał) powstrzymałby ich od kroku, który, raz uczyniony, pogrzebałby niepowrotnie charakter powszechności i cały wpływ papieżstwa na mnogie, duchowo podległe mu ludy.

Przeciwieństwo interesów i dążeń między ludami temi stawia wciąż Stolicę Św. w położeniu trudnem, z którego zawsze dotychczas ratowały ją takt i zręczność jej dyplomatów. Nigdy jednak pewnie w ciągu dziejów kolizya nie była jaskrawszą, a utrzymanie równowagi nie stało się tak podobnem do kwadratury koła, jak podczas obecnej wojny. Obie strony przedstawiają dla katolicyzmu niepospolite wartości i zwycięstwo każdej stanowiłoby pod pewnym względem znakomity plus dla Kuryi. Po której stronie jednak

wartości tych jest więcej? Czyje zwycięstwo możnaby nazwać w ostatecznym obrachunku zwycięstwem Kościoła?

Z 10 większych państw katolickich, jakie liczyła Europa przed rozbiorem Polski, w r. 1870 pozostało ich już tylko pięć, z nich dwa o mocarstwowym charakterze. Włochy, zjednoczone ze szkodą Państwa Kościelnego, związek ze Stolicą Św. zerwały. Później uczyniły to samo Francja i Portugalia. Dzięki temu, w dobie obecnej w związku z Rzymem pozostaje jedynie z samodzielnymi państwami katolickimi Hiszpania, Belgia i Austro-Węgry, Bawaria bowiem jest integralną częścią Rzeszy.

Jedynym państwem katolickim, z Rzymem złączonem a posiadającym mocarstwowe stanowisko, są Austro-Węgry. Mocarstwo to przytem poczuwa się do przodowniczej roli w obronie interesów katolickich i uznaniu praw Kuryi rzymskiej, z którą i dynastye, i oba rządy zjednoczone łączy wiele więzów. Z tych względów Kuryi zależeć musi na utrzymaniu i pomyślności państwa Habsburgów, którego rozczłonkowanie i osłabienie pozbawiłoby ją jedynego w Europie godnego naprawdę tej nazwy sojusznika i protektora. Niemcy znowuż, choć w 2/3 protestanckie, posiadają środowisko katolickie niezmiernie żywotne i przedwzięnie zorganizowane, są więc dla papieżstwa czynnikiem pierwszorzędnej wagi.

Z drugiej strony jednak stwierdzić trzeba, że wydatna działalność niemieckich katolików skupia się w granicach ich ojczyzny. Nawet dość rozwinęta działalność zgromadzeń misyjnych rzadko przekracza granice niemieckich kolonii. Dzięki temu na wadze powszechności Kościoła przedstawiają się katolickie

Niemcy, jako walor drugorzędny. W wyższym jeszcze stopniu da się to powtórzyć o Austro-Węgrzech, które organizacją i ekspansją katolickich wpływów i inicjatywę pozostają za Niemcami. W Rzymie, w tym potężnym ognisku rywalizujących i prześcigających się myśli i czynów katolickiego świata, spotyka się pewne oddziaływanie ducha katolickich Niemiec; austro-węgierskich wpływów poza pałacem Weneckim Germanicum i kolegium Czeskim nie spotyka się prawie wcale.

Spotyka się natomiast na każdym kroku krzyżowanie się lub współdziałanie dwóch wpływów przemownych: francuskiego i włoskiego.

Włochy tworzą rdzeń kościelnego ustroju. Kurya składa się z włoschów, a choć z urzędu i z konieczności pozostaje z państwem włoskiem w zasadniczym konflikcie, faktycznie jednak nie jest w stanie oprzeć się oddziaływaniu pośredniemu rządu i opinii Włoch. Wojna obecna wykazała dowodnie, że dobrowolne zamknięcie się Papieża w Watykanie nie było trwałym odruchem złego humoru, ani czczym protestem, ale koniecznością praktyczną. Co więcej, przekonywamy się, że więzienie konieczności tej zwierzchnika Kościoła czyni w części tylko zadosyć, nie zapewniając mu w całej pełni swobody rządów duchownych.

Istotnie, nastroje i namiętności, płynące z Montecitorio, odbijają się wprawdzie o granitową kolumnadę Watykanu, ale coś z tych fal odpływających przedostaje się za każdym razem na Scala regia. Może być inaczej? Prałatów Kuryi wiąże przecie tysiąc nici z tem społeczeństwem, z którego wyszli, w którym żywot im płynie poza ich urzędową kancelaryą. Organizm państwowy, który wbrew prawu i słuszności wyrósł na ruinie dawnego teokratycznego ustroju, to dla nich może „matka małej miłości“, jak Florencia była dla Danta, ale to przecie ich ojczyzna. A dla mas włoskich, tak dotąd, wiernych wierze, hasłem dziś, jak za Hohenstaufów, walka z gibelinami. Jakże może kapłan stanąć poza nawias uczuć swego ludu i skazać się na piętno zdrajcy? Jakże narażać może podobnem odosobnieniem więcej, niż siebie, bo Kościół?!

Więc z konieczności, mimo konfliktu z Włochami, Stolica Św. musi z niemi liczyć się bardziej, niż z innym państwem, nie może iść na wspak ogarniającym naród prądom i dość już dowodzi stałości i nieispożytej siły, skoro w tak trudnych warunkach nie zboczyła z ogólnej linii bezstronności, okazując katolickiemu odtamowi koalicji raczej sympatyę serca, niż poparcie czynu.

O Francji znowuż nie należy sądzić podług jej rządu i polityki. Katolicy są tam może mniejszością, ale mniejszość ta jest potęgą wprost niezmożoną, a owoce jej działania

są niezwykle obfite. Rozporządzając ogromnymi kapitałami, ofiarni nad wszelką miarę, w organizacji i dyscyplinie wyszkoleni po wojskowemu, francuscy katolicy nie przestali ani na chwilę tworzyć przedniej strażki katolicyzmu. Więcej: są oni osią, koło której obraca się całe katolickie życie świata.

Świętopietrze, pokrywające milionowe kosza wszechświatowego rządu Kościoła, płynie w $\frac{3}{4}$ z Francji. Przed konfiskatą dóbr zakonnych za ministerium Waldeck-Rousseau i parafialnych za Combes'a, udział Francji wynosił $\frac{3}{4}$. Misye wszechświatowe utrzymuje Francja nie tylko pieniędzmi, ale ofiarnością osobistą. Trzeba wiedzieć, że oprócz znacznej części Europy i Ameryki, trzy pozostałe części świata poddane wyłącznie zarządowi Propagandy, a koszty utrzymania w nich hierarchii kościelnej, duchowieństwa, zakładów misyjnych, szkół i ochron. pokrywają składki katolików całego świata. Co więcej, duchowieństwo krajów tych rekrutuje się w ogromnej większości z krajów katolickich i ze zgromadzeń, w krajach tych dla celów misji istniejących. Jest to nie mniej, niż sto kilkadziesiąt dyecezyj i wikaryatów apostolskich z tylomaż biskupami, kilkaset seminariów, kilkadziesiąt tysięcy szkół i księży, więcej stu tysięcy siostr i około 20 milionów chrześcijan i katechumenów.

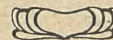
Trzy ćwierci tego olbrzymiego pola pracy i ofiary zasila swymi synami i córami, utrzymuje swoim kosztem Francja. Całe mnóstwo zakonnych zgromadzeń wyłącznie poświęca się temu dziełu i ani zubożenie Kościoła w ostatnich kilkunastu la-

tach, ani obecne trudności wojenne nie wstrzymały Francji od dalszego spełniania przodowniczego postępowania na tem polu.

Czy wobec tego może wydać się dziwnem, że Stolica Św. liczy się z Francją w większej mierze, niż z innymi państwami? Czy potrzeba uciekać się do złośliwych bajeczek, dla wytłumaczenia zjawiska, które od początku wojny trwa niezmiennie i nie może uleść zmianie? Czy w warunkach, w jakich Kuryę stawia jej stosunek do Włoch i Francji, nie należy raczej się dziwić, że pomimo wszystko, nie przechyliła się nigdy w sposób wyraźny na stronę, z którą wiąże ją o tyle więcej interesów?

Zwycięstwo mocarstw centralnych przedstawia niewątpliwie szereg korzyści dla katolicyzmu. Utrzymanie i wzmocnienie, względnie rozszerzenie katolickich Austro-Węgier; utworzenie nowego katolickiego państwa w Polsce; wreszcie osłabienie schyzmy, a prawdopodobny rozkwit unii na Bałkanach — to widoki dla przyszłości katolicyzmu wspaniałe. Ale zwycięstwo koalicji, to zwycięstwo ludów romańskich, nieraz osłabłych w wierze, ale katolickich; to zwycięstwo plemienia anglo-saskiego, w którym katolicyzm ostatnimi czasy znalazł dla siebie silne poparcie. A wobec tego hasłem Kuryi jest i pozostanie do końca neutralność, poszanowanie każdej ze stron wojujących i względ na to, by sympatya dla jednych nie zrazić ku sobie drugich.

Ks. J. Gnatowski.



Z Salonu Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych w Warszawie.



Fot. A. Masłowski.

Szczesny Rutkowski. Włocławek.



Fot. A. Maślowski.

Z. Rozwadowski. „Patrol ułanów”.



Fot. A. Maślowski.

St. Janowski. „Rafałowa”.



Feliks Pęczarski. Kawiarnia zwana „Honoratką” (1830).

Z DZIEJÓW WARSZAWY. „HONORATKA”.

W czasach, niezbyt od naszych odległych, przed powstaniem Styczniowym, wypadki Lutowe roku 1861 zbudziwszy umysły z długotrwałego uśpienia, powołały na widownię działania nie tylko szare rzesze ludności miejskiej, lecz i przedstawicieli inteligentnego obywatelstwa warszawskiego. Jako miejsce zebrań dla narad nad sprawami najnaglejszemi kraju wybrano salę dolną *Resursy Kupieckiej*, przy ulicy Senatorskiej. W braku odpowiedniej katedry, ustawiane stół restauracyjny w pośrodku owej sali i na nim stawali przygodni mówcy, komunikując zgłębliwemu zgromadzeniu najświeższe, napływające z miasta nowiny polityczne.

Pamiętam, jako uczeń gimnazjalny, wraz z tłumem ciekawych

na jednym z pierwszych takich zebrań obecny, gdy Kraszewski, ówczesny redaktor *Gazety Codziennej*, wdrapawszy się z trudem przy pomocy kilku przyjaciół na taką zaimprovizowaną mównicę, ogłosił sensacyjną nowinę, iż „Muchanow poszedł w odставку i zamieniony został — Łaszczyńskim...”. Nie zwrócono na razie uwagi na ów w pośpiechu przez wielkiego pisarza popełniony ruseyzm, z którego on sam po chwili serdecznie się uśmieł, gdyż treść nowiny była ważniejszą, aniżeli jej forma stylowa. Z zajęciem gorączkowo przysłuchiowano się innym trybunom ludowym, między którymi prym trzymali mecenasi: Wincenty Majewski i Antoni Rądgowski, najślawniejsi ówczesni krasomówcy.

Trwały owe wiece resursowe czas niejaki, do chwili utworzenia tak zwanej *delegacji obywatelskiej*, która unikając z konieczności tłumnych zebrań gawiedzi, przeniosła miejsce swych narad do sali Magistratu i tam swoją misję zakończyła.

Inaczej, według świadectw pamiętnikarzy, działo się z zebraniem politycznymi w początkach listopadowego powstania roku 1830.

Miejszem zebrań wiecowych były początkowo *sale redutowe* przy *Teatrze Narodowym* na placu Krasińskich, gdy jednak z ustanowieniem dyktatury Chłopickiego zapalne mowy braci Mochneckich, Czyńskiego i Bronikowskiego wywołały konieczność zamknięcia owego pierwszego klubu rewolucyjnego w Warszawie, co z bezwzględną surowością przez gubernatora miasta, generała Wączyńskiego, wykonaniem zostało, wówczas, tak zwana *fakcja Lelewela* postarała się o wyszukanie innego, na pozór niewinnego miejsca schadzki klubowych i znalazła je w dwóch podówczas modnych kawiarniach warszawskich, w *Dziurce Marysi* w pałacu Kernerą na ul. Miodowej i w *Honoratce*, w pałacu ongi rodziny hr. Chodkiewiczów, następnie od r. 1831 Jana Kochanowskiego (dziś Skińskiego), przy rogu ulicy Kapitulnej. O „*Dziurce Marysi*” niewiele da się powiedzieć, natomiast kawiarnia *Honoratki* utrwaliła się w pamięci potomności. „Nazwisko to — pisze Barzykowski — (T. II. 91) zostanie się w dziejach naszego powstania pamiętne”, gdyż *fakcja* „niespokojna” imię to sobie przybrała.

Lelewelowską *fakcją* stało się grono zaciekle klubistów, które wszelkimi środkami zwalczać postanowiło dyktaturę Chłopickiego, a nie mogąc działać jawnie, umyśliło wicherzyć potajemnie w dawnej salce zboru desydenckiego, zamienionej na kawiarnię *Honoratki*.

Po owej ubikacji dawnego pałacu Chodkiewiczów niemasz obecnie już śladu. Wiadomo tylko, że się mieściła po lewej stronie dziedzińca, wchodząc od ulicy Miodowej, i że w ciemnej, zakopconej od fajczanego dymu salę gromadziły się codziennie tłumy.

Dajmy w tem miejscu głos naoczniemu świadkowi zebrań *Honoratki*, gdyż odtworzy nam lepiej obraz ówczesnego klubu rewolucyjnego,

anieliby to uczyniła parafraza stylu-
wa dzisiejszego sprawozdawcy.

„W początkach była to tylko ka-
wy filiżanka, ponczyk, szklaneczka i
cicha gawędka w ukryciu. Lecz póź-
niej na zebraniach tych zaczęto czy-
tać i deklamować wierszyki patryo-
tyczne, śpiewać piosenkę narodową i
przy tej sposobności wszczynano
głośne rozmowy polityczne i różne
wieści w obieg puszczano.

Zgromadzenie stawało się cieka-
wsze, a więc liczniejsze. Warszawa
wówczas była napelniona obywatel-
kami i młodzieżą. Z różnych stron
kraju do stolicy przybywano, a sama
nadzwyczajność położenia wszyst-
kich tutaj ciągnęła. Prócz tego, po-
trzeba uzbrojenia, umundurowania,
ciekawość, otrzymanie miejsca i u-
rzędu, wszystko to do Warszawy
pchało, a długi, zimowe wieczory
przyjemnie się przepędzał w *Dziur-
ce Marysi*, a szczególnie u *Honoratki*.

Zgromadzenia bywały nadzw-
yczaj liczne, tak, że sale objąć gości
nie mogły. — Ponieważ powiodło się,
więc dalej iść postanowiono. *Fakcja*
nie poprzestała już na wierszykach i
śpiewkach, na rozsiewaniu wieści i
plotek, ale wzięła się do rozpraw i
niedługo stół na środek wysunięty
stawał się mównicą. Pchali się do
niego i darli nań wśród ściągania, spy-
chań i kułaków liczni ochotnicy. Z
początku były mowy skromne i nie-
winne, hojne tylko w szumne oświad-
czenia i dary, w słowach na ołtarz
ojczyzny składane. Rozdarowywa-
no dobra, których nie miano, na rzecz
publiczną, lub dla uciśnionych i tym
środkiem szukano dla siebie popular-
ności. Następnie zaczęto krytyko-
wać Rząd i czyny Dyktatora, ostre
nagany leciały z trybuny stołowej,
a choć wszystko miało cechę szyn-
kownianą i wiecha była najwłaści-
wszym zebraniach tych godłem, jednak-
że usiłowania bez skutku nie pozosta-
ły. *Fakcja* miała swe tajne związki
i druk, liczne zgromadzenia, mogła
tem samym silnie na opinię publicz-
ną wpływać, namietności podburzać,
podejrzanie zaszczipiać, niezgodę za-
siewać, a władza Dyktatora słabła i
szła w poniewierkę. Nakoniec coś w
guście spisku odkryto...“ (Barzykow-
ski loco cit).

Uzupełnia tę informację o ze-
braniach w *Honoratce* Mochnacki
(*Powst. III*, 144) notatką: „Zwykle na
tych schadzkach obierano prezesa,

który w czerwonej czapce z piórem
grał rolę „dyktatora“...

W monografiach piszącego, ogło-
szonych pod tyt: *Klub patryotyczny
warszawski* (*Misc. hist. XXXVI*), *Ży-
cie potoczne Warszawy w czasach
powst. listopadowego* (*Misc. XLIV*)
i *Wolność druku w czasach listop.*
(*Misc. XLV*), zwłaszcza w pierwszej
z nich, mieści się źródłowy, na
aktach Rady Najwyższej Tymczaso-
wej z roku 1830 osnuty opis na-
stępstw, jakie sprowadziło wykrycie
spisku uknutego w *Honoratce*, pod
hasłem: „Precz z generałem Chłopi-
ckim, niech żyje Dyktator Lelewel!“

Chłopicki z właściwą sobie gwał-
townością nie taił zamiaru okiełzna-
nia owych objawów anarchii i głośno
zapowiadał, że „gdy winnego do rąk
dostanę, źle z nim będzie, spełnię
wielki przykład, bo raz chcę z wszel-
kimi spiskami, zamachami i towa-
rzystwami zakończyć!“

W ustach Chłopickiego, żołnie-
rza temperamentu ognistego, nie ra-
chującego się z żadnymi względami,
byle tylko władzę, wbrew nawet woli
i chęci własnej sobie powierzona u-
trzymać i spożytkować, dla zabez-
pieczenia wewnętrznego ładu i ener-
gii w walce z nieprzyjacielem ze-
wnętrznym — pogroźki tego rodza-
ju nie były czechem słowem: Czekał
tylko sposobności, by móżdż za je-
dnym zamachem zgnieść anarchię i
wywrzeć zemstę na klubistach, za

których prowodyra uważał — Lele-
wela.

Wskutek doniesienia podpułko-
wnika artylerii, Dobrzańskiego, o
uknuty na obalenie Rządu spisku,
nastąpiło krótkotrwałe aresztowanie
Lelewela.

Upadek dyktatury Chłopickiego
pozwolił na nowo podnieść głowę
klubistom i zachęcił do wznowienia
zakazanego Towarzystwa patryo-
tycznego, na którego czele pozostał
Lelewel. Jednocześnie jednak, po-
mimo powołania do godności Człon-
ka Rządu Narodowego, Lelewel wy-
trwał na stanowisku prowodyra fa-
kcy klubistów, której organem urzę-
dowym była zawsze *Nowa Polska*
J. B. Ostrowskiego (*Ibusia*), miej-
scem zaś zebrani — *Honoratka*...

Stąd wyszło hasło rzezi Sierpni-
owej 1831 r. Z objęciem władzy przez
Krukowieckiego klub ów ostatecznie
rozpędzono, winnych do odpowie-
dzialności pociągnięto i ukarano.

Katastrofa Wrześniowa i upadek
Stolicy dopełniły reszty.

Po zgiełkliwych zebraniach *Ho-
noratki* i po samej kawiarni pozostało
jedynie wspomnienie. Utrwalił obra-
zek głośnego miejsca klubu, w chwili
poprzedzającej zgiełkliwe zebranie
wieczorne, Felix Pęczarski, ongi re-
nomowany artysta-malarz, na płó-
tnie wystawionem na Wystawie re-
trospektywnej w Warszawie, w roku
1898. Alexander Kraushar.

Z dziedziny Sportu.



Match piłki nożnej „Legioniści — Akademicy“. Dnia 9 b. m. na boisku w Agrykoli roze-
grany został match między drużyną 5-go pułku Legionów polskich a drużyną reprezen-
tacyjną akademickich związków sportowych. Skład drużyny legionowej był następujący:
Bem (bramkarz), Lech, Markiewicz, Grudziński, Stopa, Długocki, Wilczyński, Mielech,
Kowalówka, Ryszanek, Lödl. Drużynę akademicką reprezentowali: Strzelecki, Gło-
wacki, Świętlicki, Weller, Janowski, Staniszewski, Gebethner, Kochański, Palmbach,
Walczak, Grabowski (bramkarz). Wygrali legioniści 4 : 1.
Fot. Maryan Fuks.

W tych dniach odbyła się w Zegrzu, gdzie od paru miesięcy w dawnych koszarach rosyjskich kwateruje druga brygada Legionów polskich, pozostająca pod komendą pułkownika-brygadiera Hallera, piękna uroczystość pułkowa. Oto pułk trzeci, żelazny pułk karpacki, przejmował oficjalnie wspinały sztandar, ofiarowany mu w



Pułk. Andrzej Galica.

swym czasie przez ziemię podhalańską. Żaden bo też z pułków legionowych nie jest tak ściśle związany z Podhalem, jak pułk trzeci. Zawiazaniem jego, poza kompanią śląską, był batalion górski podhalańskich, z których więk-

szość dotychczas służy pod jego sztandarem, wiernie dzieląc jego dołę i niedolę, a wyrobiwszy sobie opinię najlepszych i najdzielniejszych żołnierzy. Komendantem jego obecnie jest również podhalańsin, znany już i popularny w szerokich kołach towarzyskich pułk. Andrzej Galica, dawny czwartak, który jako komendant pułku trzeciego, godnie kroczy śladami swoich poprzedników: pułk. Hallera, obecnego brygadiera, i podpułkown. Minikiewicza, który w lipcu 1916 r. dostał się do niewoli rosyjskiej.

Sztandar podhalański, najpiękniejszy z pewnością ze wszystkich sztandarów legionowych, jest poprostu dziełem sztuki i chlubnie świadczy o artystycznym przemyśle zakopiańskim. Na wspinałym atłasie amarantowym dumnie rozpościera się ptak królewski, orzeł biały, który na piersiach ma misternie wyhaf-

towaną cyfrę pułkową i literę L, jako znak Legionów, ujęte w gałązki lauru. Obrazowanie sztandary stanowi srebrny galon oficerski. Najpiękniejszą jednak ozdobą jego jest zakończenie: przepyszny orzeł, kuty w bronzie, z koroną szczerozłotą, wsparty na masywnej podstawie z brązu, na której widnieje 3 P.P., modelowanej na wzór tych, które ongiś wiodły legiony rzymskie w bój, do zwycięstwa. Wspinała całość jest dziełem znanego zaszczytnie artysty p. Jana Skotnickiego z Zakopanego.



Zakończenie sztandaru podhalańskiego 3 p. p. Legionów pol. (rzeźba w bronzie Skotnickiego).

Niezapomnianym był moment, kiedy wzdłuż rozwiniętego frontu, przy dźwiękach orkiestry pułkowej, grającej hymn „Jeszcze Polska nie zginęła”, sztandar defilował, a oczy żołnierskie, oczy przysięgłe szły za nim, ślubując wierność i wytrwanie do ostatka...

Piękną uroczystość, która w sercach uczestników wywarła niezatarte wspomnienie, zakończyło krótkie, żołnierskie przemówienie podpułkownika Galicy, który w mocnych i wiarą głęboką przepełnionych słowach dał wyraz nadziei, że ten sztandar podhalański powiedzie pułk trzeci do ostatecznego zwycięstwa i zakończył okrzykiem na cześć Polski niepodległej i Podhala, tej perły w koronie polskiej.

J. R.

Wznowienie „Ślubów panińskich” w Rozmaitościach.

Gdy Teatr Rozmaitości przekształca się na Teatr Narodowy, Fredro znajdzie w nim odpowiednie miejsce, co najmniej takie, jakie zajmuje Molier w komedii francuskiej. Teraz z dziełami największego komedyopisarza polskiego spotykamy się w Rozmaitościach przypadkowo.



Jerzy Leszczyński.

Oto p. Jerzy Leszczyński wstąpił do zespołu tej sceny i na pierwszy występ wybrał sobie rolę Gućia w „Ślubach panińskich”. Publiczność mogła odczuwać podwójne zadowolenie. Raz, że powitała świetnego

artystę na pierwszej scenie polskiej, której oddawna był nieodzownie potrzebny, — i powtóre, że mogła nacieszyć się najrozkoszniejszą komedią, jaką kultura polska wydała. „Śluby panińskie” są niewątpliwym dokumentem tej kultury łacińskiej, jaką szczyci się Polska, na taką wytworność, dowcip, pogodę, jasność umysłu, życzliwość wobec ludzi — mógł zdobyć się tylko umysł, przeziąknięty do głębi cywilizacją Zachodu.

Arcydzieło Fredrowskie wystawione i odegrane zostało nader starannie. Może zespołowi brakło całkowitej jednolitości. Pp. Rapacki i Śliwicki, pierwszy — znakomity odtwórca Radosta, drugi — doskonały w roli płacziwej Albina, — są przedstawicielami dawniejszej generacji aktorskiej, reprezentują dawniejszy „styl” fredrowski. Pp. Szyllinzanka, Sarnowska i Leszczyński, zapewne i p. Bogusławska, należą do młodszych pokoleń, które do tego stylu nagiąć się nie umie czy nie chce. I według mnie ma słuszość, bo nie widzą zgola potrzeby, aby Fredrę grano wiecznie tak, jak przed pięćdziesięciu laty. Znaczyłoby to, że jego utwory nie mają w sobie życia, że są okazami muzealnymi. Tymczasem „Śluby panińskie” mają w sobie więcej rzetelnego, prawdziwego życia, niż wiele komedii i dramatów ostatniej doby. I zresztą młodość, gdy się z talentem i wdziękiem połączy, zawsze ma słuszość, zawsze odniesie



Sztandar 3 p. p. Legionów polskich (dar Podhala). Fot. dr. Nadolski.



Nad Częstochową d. 3 kwietnia rozszalała się zawieja śnieżna. Wicher powywracał słupy telegraficzne, pozrzucał szyldy.

zwycięstwo. Mogłoby być inaczej z tą trójką — dwóch ulubieńców publiczności i sympatycznego, utalentowanego syna Bolesława Leszczyńskiego, wnuka Wincentego Rapackiego? P. Szyllinżanka jest pełną uroku i nieświadomej poezji Anielą, p. Sarnowska rozkoszną w swych dásach i zapalczywością Klarą, p. Jerzy Leszczyński — Gucim, tryskającym swobodą, humorem. Teatr Rozmaitości zyskuje w nim artystę niepospolitego, — wypełnia się luka dotkliwa. Pp. Józef Węgrzyn, Jerzy Leszczyński i Osterwa (gdy wróci), to przyszłe filary pierwszej sceny polskiej, jak najpiękniejszemi jej ozdobami są pp. Szyllinżanka i Sarnowska, tak znakomicie się dopełniające. Teraz należałoby tylko pomysł o uzupełnieniu personelu kobiecego. Te dwie artystki przecież nie są w stanie udźwignąć całego repertuaru, a choć Teatr Rozmaitości posiada zastęp innych utalentowanych aktorek, przecież zespół pod tym względem domaga się nowych nabytków. W ostatnich czasach zajaśniały żywszym blaskiem talenty pp. Mrozińskiej (przedewszystkiem!) i Renardówny. P. Jerzowa Leszczyńska rokuje piękne nadzieje. Jeśli zrzeszenie pomyśli o zjednaniu sobie której z tych artystek — czy nawet paru, zespół Teatru Rozmaitości może stać się nie tylko najlepszym w Polsce: może być jednym z najznakomitszych w całej Europie.

S. K.

TEATR MAŁY. „Książętko”, 3-aktowa lekka komedia Schlischa.

P. Mary Mrozińska, grając we wznowionem „Książętku” w Teatrze Małym, przekonywa zupełnie, że serce kobiece jest pełne miłych niespodzianek i praktycznych uniesień. Uroczą, piękną kobietą może wprowadzić w świat nawet księcia krwi i to dziedzica tronu, nie licząc się wcale z możliwością żadnych konsekwencji, bo od czegoż istnieją niezgrabni idealisci? Ci kochają się przecież w kobietach poważnie. Ich też powaga jest najlepszym parawanem na wszelkie niespodzianki natury właśnie poważnej. Jednym słowem, gdy książę zawini — to nauczyciel - filozof z miłości się ożeni. Paradoks nie nowy. Już dawno wieszali kowala, aigan zawinił. Obok pani Mrozińskiej, rozkosznej i milej, a spowiej w bogate i gustowne stroje, dowodzili tezy autorskiej p. Ratowski, Neubelt i Kindler. Wszyscy z powodzeniem.

E. C.

Ze sceny i estrady.



KAZIMIERA RYCHTERÓWNA, wybitna art. dram. i deklamatorka wystąpi dnia 15 kwietnia r. b. na wieczorze żywego słowa w Salii kameralnej Hermana i Grossmana.

Z życia prowincyi.



Fot. A. Ryttler.

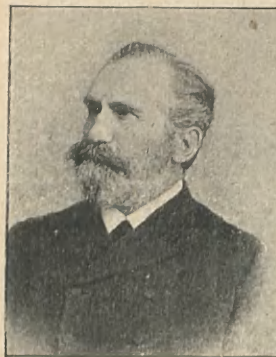
Grupa pamiątkowa z Wieczornicy Legionów polskich w Słupcy.

Ś. p. prof. Fryderyk Zoll.

Dnia 1 kwietnia zmarł w Krakowie znakomity uczony polski, świetny prawnik i profesor, Fryderyk Zoll (ojciec). Należał on do stronnictwa konserwatystów krakowskich. Jako znawca prawa rzymskiego, wśród uczonych polskich, a nawet europejskich, Zoll zajmował miejsce czołowe. Jego kapitalna praca „Pandekta czyli nauka rzymskiego prawa prywatnego” będzie po wszystkie czasy wzorem metody i celowej erudycji. Zoll, jako specjalista w zakresie prawa rzymskiego, współpracował we wszystkich prawniczych czasopismach zagranicznych.

Urodził się on w r. 1834 w Dolnej wsi pod Myślenicami, z rodziny pochodzenia alzackiego, spolszczonej już od kilku pokoleń. Szkoły średnie odbył w Bochni i Krakowie. Stopień doktora praw uzyskał w 1859 r. na uniwersytecie Jagiellońskim. Od 1861 r. Zoll wykładał na wszechnicy krakowskiej prawo rzymskie.

Działalność ś. p. zmarłego objęła cały szereg kierunków naukowych i społecznych. Był profesorem i rektorem uniwersytetu, posłem na Sejm i członkiem



Rady miejskiej, uczestnikiem licznych organizacji naukowych i społecznych — a na każdym polu odznaczył się w sposób wybitny, niezmordowaną pracą, wiedzą, talentem i czystością swej duszy.

Wychował całe pokolenia prawników polskich, którzy jego talentowi zawdzięczają swoją wiedzę, a uczynności stanowiska.

Śmierć ś. p. Fryderyka Zolla w szeregu szeregach nauki polskiej czyni olbrzymią wyłom.

Cześć jego pamięci!

Ś. p. Janusz Orlński.

Dnia 2 kwietnia r. b. zmarł w 46 roku życia w Łodzi jeden z wybitniejszych artystów dramatycznych, reżyser teatru Polskiego, Janusz Orlński-Busiacki.



Jako artysta charakterystyczny, cieszył się Orlński i w Warszawie uznaniem krytyki i publiczności. Przez cały szereg sezonów występował Orlński na scenie teatru Małego, w Filharmonii. Stworzył całą girlandę interesujących kreacji, które zapewne w historii teatru zajmą właściwe sobie miejsce.

Ś. p. Stefan Wolnicki.

W d. 3 marca r. b. w sobotę o godzinie 10-ej wieczór na ulicy Wolskiej padł na posterunku po pracy zawodowej zamordowany ś. p. Stefan Wolnicki.



Ś. p. Stefan Wolnicki urodził się d. 8 stycznia 1866 r. w Łyszkowicach guberni Kieleckiej. Z zawodu był technikiem Podczas wojny pracował w szeregach polskiego Komitetu pomocy sanitarnej. Od

12 kwietnia 1916 r. pracował jako instruktor administracji sklepów miejskich. Na tem to stanowisku, pełniąc swoje obowiązki, padł ugodzony morderczą kulą rabusiów, którzy czyhali na ograbienie sklepu Sek. Żywnościowej.

Odpowiedzi redakcyi.

Chmurce. „Jak sen” jest bardzo miłym wspomnieniem osobistym Sz. Pani. Rozdzwięk psychologiczny należy do rzędu przemijających refleksyi. Zapewne Imperator w noweli Pani zwycięży znow kiedys i powstanie nowe, piękne wspomnienie „Jak sen”. Drukować nie możemy, jako rzeczy zbyt osobistej.

C. ULRICH

Istniejące od 1805 r.

Zakłady ogrodnicze

Warszawa—Ceglana № 11

polecają w wielkim wyborze

DRZEWKA

i krzewy
owocowe
i ozdobne.

Cenniki bezpłatnie.

102-0

OD BÓLU GŁOWY



W OPLATKACH.

Dozwolony przez Radę Medyczną. Dla odróżnienia od wielu leków o zbliżonej nazwie, zwracamy uwagę, że nasz środek leczniczy z najdużej się w sprzedaży tylko w opłatkach opatrzonych naszą firmą.

Warsz. Tow. Akc. „MOTOR” Marszałkowska 23.

KAZIMIERZ EHRENBURG

CZASY TERAŹNIEJSZE

Cena rubli 2.20 z przesyłką 2.50.

DO NABYCIA WE WSZYSTKICH KSIĘGARNIACH

15050

Bracia HOSER

Zakłady Ogrodnicze

Warszawa, Jerozolimska № 59,

polecają na nadchodzący sezon duże zapasy i bogaty dobór **drzewek i krzewów** owocowych i ozdobnych.

Oferty na żądanie.

10259

Znakomity środek odżywczy w wyczerpaniu fizycznym i umysłowym

„ROBOROL”

Cena flakonu rb. i kop. 85.

połeca Apteka Tow. Akc. „Fr. Karpiński”
ul. Mazowiecka № 10.

10238

ROMANS I POWIEŚĆ

Tygodnik, poświęcony literaturze nadobnej
i wiadomościom literackim.

Rok IX.

Warszawa, dnia 14 kwietnia 1917 roku

Nr 15.

Alfred Konar.

KARYERY.

23

Opiewał też tę swoją Warszawę z miłością matki, zaślepionej w swojej jedynaczce, jak umiał: prozą, wierszem, ołówkiem i pieśnią.

I treścią tych hymnów była nie ta ciemna, legendarna Warszawa z poczerniałych drzeworytów, ze starymi, nieistniejącymi już wieżami, z kamienistemi wybojami, wśród których głodni nędzarze przypatrują się pysznym karocóm magnackim, zaprzężonym w czwórki. Lecz kochał tę Warszawę dzisiejszą i jutrzejszą, którą upiększał w myślach i marzeniach o lepszym jutrze w muzea, w nowe uniwersytety, w łuki tryumfalne i posagi geniuszów. Tę biedną Warszawę, w której radował go każdy nowy most, każdy nowy gmach szkolny, każdy szpital, każda latarnia elektryczna, każdy tramwaj i każdy samochód.

I tęsknił do tego brzydkiego Nowego Świata, zżydzonej Marszałkowskiej, do Ogrodu Saskiego i do Łazienek — i w palmowym lasku nad modrą zatoką Bordigery — i w śniegach Jungfrau, cztery tysiące metrów nad morzem i na cudnej Avenue du bois w Paryżu. Tęsknił do Patelni, do Krakowskiego Przedmieścia, do teatru Rozmaitości i do Wilanowa.

A oni wszyscy dokoła nienawidzili go; uważali go — według złóżonej opinii — za człowieka bez talentu — bez rozsądku, za kryminalistę.

W sercu ukłuło go coś tępym zgrzytem, podobnym do bólu spróchniałego zęba, jak ojcu, kiedy spu-

szczają do grobu trumnę ukochanego ongi, a wyrodnego dziś syna.

Teraz był już zupełnie spokojny. Z pochyloną głową starca wracał oswobodzony skazaniec do domu. Uczuł naraz, jak mu dusza zamarła. W piersiach swoich uczuł trupa.

Pojmował najdokładniej, że Warszawa dla niego już nie istnieje; że możliwość jego wegetacji zależy od jednego: aby Warszawy więcej w życiu już nie widzieć; zetrzeć z siebie jej pył, obraz, wspomnienie.

Lecz wiedział, że i het, tam, nie będzie już nigdy wolny: Miał wszak w duszy trupa.

Przeżyte męki od dziesiątków lat tkwią w jego pamięci z niezblakłą barwą i plastyką: Wolny nareszcie — poznał, co znaczy męka kary, tkwiącej w nas samych; wolny już — miał uczucie, że oddzielony jest od świata całego kratą żelazną nie do przebycia. Wolny — czuł się spętany okowami, jak w klatce.

Nie śmiał do nikogo na świecie przemówić, do nikogo się zbliżyć; bo wszyscy dokoła ludzie — to jedna sztuczna hydra, która sądzi, że on nie jest waryatem i że on oddawna godził się dla własnej wygody z tem, iż Jaworski był kochankiem jego żony.

Lecz w duszy jego rodziła się tragedia, stokroć większa od żalu do świata i do opinii: Przysięgał w sądzie, iż nie wiedział... Lecz pod wpływem przekonywujących argumentów prokuratora i drobiazgowych zeznań świadków — poczęła torturować go refleksya... Począł ba-

dać samego siebie... Rodziło się w nim zwątpienie...

— A może ja popełniłem krzywoprzysięstwo? A może ja faktycznie nie wiedziałem, że on jest jej kochankiem?

Dopiero teraz na swobodzie zaczął przechodzić męki Tantalą. Neurastenii, zrodzona wśród ciszy celi więziennej, wzrastała w nim do obłędu. Lekarze jeszcze w więzieniu stwierdzili ten obłęd. Lecz on sam począł godzić się z przekonywującym go oskarżeniem prokuratora:

— Tak, tak — zadecydował ku swojej rozpacz. — Lekarze omylili się. To prokurator miał słuszość. Nie jestem waryatem. Symulowałem obłęd.

Cała sprawa przedstawiała mu się teraz zupełnie jasno:

— Tak, tak. — Był tego pewnym. — Jest uczciwym, słabym, lichym człowiekiem. Lecz siedzi w nim „ten drugi“, silniejszy od niego, mędrszy i gorszy, którego pragnął w sobie zdusić i zagłuszyć „jego“ cynizm i zły, płytki sprytek.

„Ten drugi“ wiedział... Wiedział wszystko; korzystał z wygód, podkreślanych przez prokuratora i świadków, którzy — zdawało mu się z początku, że kłamali, osądając go zbyt ostro.

— Nie, nie. Oni mieli słuszość. Popełniłem krzywoprzysięstwo. Jestem gorszy, niż oni wszyscy. Choć zatykałem sobie uszy na głos „tego drugiego“, lecz, *zdaje się*, że wiedziałem... To „ten drugi“ ja zabił ze wstydu przed anonimem i przed nią. „On“ wiedział, że ona domyśla się, iż on wie...

Teraz na swobodzie pojął dopiero całą ohydę swojej zbrodni, popełnionej nie pod wpływem afektu, lecz premedytacji. Teraz dopiero po ukończonym procesie, po wypuszcze-

niu go z więzienia, już na swobodzie, uznany za niewinnego i wolnego — poczuł całą tragedję popełnionej winy. Nie mógł już chlubić się najwyższym skarbem każdego człowieka: zadowoleniem z czystości własnej duszy. I, rycząc z bólu, szeptał, aby go kto nie usłyszał:

— Niestety! Jestem łotrem. Tak, tak. Prawda.

On godził się z powodu swego lenistwa i chęci używania życia na łatwe zyski i na hulanki nie za swoje pieniądze; domyślał się, że Jaworski czyni to nie dla nieistniejącej na świecie przyjaźni, lecz dla jego żony.

A on zamykał oczy na kokieteryę żony — najpewniejszy, bez sekundy wątpliwości, iż ten wygodny romans był jedynie platonicznym. Przekonawszy się naocznie, że się omylił, zabił ją, nie dlatego, że ją uważał za łotrzycę, nie z bólu z powodu straty ukochanej kobiety; lecz jedynie z obawy, aby nie uchodzić przed samym sobą za łotra. I rzecz główna, ze wstydu przed nią, pewny, że ona posądza go, iż on wie o wszystkim.

Pozatem chodziło mu o to, aby i Jaworski nie uważał go za draba. Aż przyszedł do przekonania, że jedynie ta przedsięwzięta zbrodnia zgładzenia oszukującej go żony — może oczyścić go w opinii Jaworskiego i świata, gotowego przypuszczać, iż on zgadzał się za pieniądze na... rogi.

Nie był obłąkany, jak sądzili lekarze. Nie powinien był słuchać nakazów „tego drugiego“, zbrodnia-za.

Dziwiła go ta wytrzymałość jego mózgu, z jaką symulował waryatę. Aby faktycznie nie oszaleć wśród sprawy sądowej — trzeba było być z żelaza. A tu „ten drugi“ począł panoszyć się w jego duszy coraz despotyczniej: Wuj Franek nie wiedział już, czy to on jest sobą, czy „tym drugim“. I nienawisć do zabitej rosła w nim coraz silniej. To ona nasłała mu w duszę „tego drugiego“, który był łotrem, nicponiem, leniuchem i zepsutym cynikiem. Bo on sam czuł w sobie dobroć i szlachetność. Dopiero pod panowaniem zesłanego mu do duszy przez żonę „tego drugiego“ począł postępować w życiu tak, jak tego nie pragnął; ugiadał i ustępstwami, jakimś się brzydził.

Lecz dziś szczytem tragedji jego życia jest myśl, że jego już w nim niema wcale; uśmiercił go „ten drugi“, łotr, alfons, pijak i zabójca, który jest nim samym.

Aby się zapomnieć i rozerwać — wywoływał jakieś tkwiące od wieków w śpichrzu jego mózgu obrazy i zapamiętałe, wybrakowane wyrażenia, wykrzykując:

— Rum Jumajka! Bramaputra, Irrawadi!

I śmiał się z tego bezmyślnie na głos, jak dziecko, do rozpuku. Lekarze mylili się co do stanu jego umysłu mniej, niż jemu samemu się wydawało.

Za pieniądze, otrzymane ze sprzedaży po wyjściu z więzienia ubrania i zegarka — stanowiącego cały jego majątek — zakupił sobie płaszcz płócienny z mnisim kapturem i czapkę bez daszka, na której nakreślił wielkimi literami jeden wyraz: „Pokutnik“.

Z długimi siwymi włosami, bosy, z kijem tułaczym, na którym zawiesił biały sztandar z napisem „Śmierć i samosąd grzesznika“ — wystawał całymi godzinami na zimnie i deszczu u wrót kościołów w jakiejś mistycznej, chorej ekstazie, żyjąc jakimś nowem bezmyślnem półżyciem plectwa, kwiatów i małych dzieci.

Karmił się jedynie suchym chlebem. Sypiał latem na ławkach skwerów, zimową porą pod mostami, w rowach, zaułkach, lub w żebraczych noclegach.

W trakcie tym zmarł mąż ciotki Benisi; zapisał mu jeden z najmniejszych folwarków klucza Jędrzejewickiego — Lucyanówkę.

Z wielkim mozołem udało się rodzinie wynaleźć spadkobiercę-tułacza. Lecz wuj Franek zrzekł się tego dziedzictwa, zatrzymując sobie jedynie na wpół rozwaloną, odludną chatę u skraju lasu, którą, jak pustelnik, dobrowolnie od świata odsunął — zamieszkiwał już z górą od ćwierci wieku, nie komunikując się ani z Jędrzejewicami, ani z nikim z najbliższej nawet rodziny.

IX.

Zwyczajem miejskim, Romek pogardził koniem i bryczką, lecz jako pieszy wędrowiec, sunął do Mekki wuja Franka.

Minął bramę pałacową. Przed nim rozciąga się sąsiadujące tuż z dworem miasteczko Jędrzejewice, różniące się od dużej wsi tem, że posiada wielki rynek, otoczony domostwami (jeden nawet, zamieszkały przez doktora Borowskiego — piętrowy z balkonem!), w których, po za apteką — mieszczą się jeszcze i sklepiki z perkalem, żelastwem i wiktuałami; a przed nimi na wysokich wazkich chodnikach, wybrukowanych fantastycznie nierównym

kamieniem — stare sennie żydówki z drutami brudnych pończoch w ręku — sprzedają na schodkach małe, miar-kami gotowane groch i suche pestki dyni.

W środku wielkiego rynku, w wiecznych kałużach błota, jak oaza wyrosła w pustyni — panoszy się stary kościół murowany, a przed nim niebiesko malowana figura św. Józefa, ustrojona w zeschłe wianki i kwiaty.

Romek mija St. Germain miasteczka, w którym po obu stronach drogi ciągną się w ukwieconych ogródkach dworki drewniane o charakterystycznych słupkach, z lawezkami. Śród nich poczta, szkoła ludowa, sąd gminny. Z niektórych okien wyglądają twarze, z małowieska spokojne, na pół sennie.

Teraz już w coraz większych odstępach zakończają miasteczko chałupy chłopskie: z początku bogactwem chępliwe, niebiesko malowane, a dalej białe i coraz bardziej szare, coraz uboższe, pochylone, ze słomianymi strzechami, z nędzą żorawia i chruszcianą zagrodą.

Jeszcze jeden krzyż na rozdrożu, jeszcze jakaś zamarała karczma, a obecnie kuźnia o charakterystycznych słupkach, na których spoczywa formujący zajazd — wyskok gonitowego dachu, i Romek skręca wskazaną mu drogą wśród rozległych pól i łąk, rozrzuconych na wzgórzu, jak barwny dywan z deseniem w kraty — ku lesistej Lucyanówce.

Zapomniał już o swych troskach i o celu pieszej podróży, cały upojony aromatami powietrza, cały pod urokiem natury, samotny i cisy.

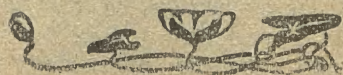
I cała istota uroku wiejskiego przedstawia mu się najwyraźniej: Oto jedynie na wsi człowiek czuje się wolnym polakiem bez pęt władzy, wolnym człowiekiem, nie krępowanym siecią najbardziej skomplikowanych życiowych praw, ciężarów, serwitutów i obowiązków.

I z piersi jego wybiega jakieś żywiołowe, dziecinne, zwierzęce, naiwne proste:

— Ho! ho! Jak dobrze! — podobne do dźwięku plectwa lub półmowy ludzi z epoki ciosowego kamienia.

Mija, pnąc się ku górze kamienistymi wentepami, dwór folwarczny, malowniczo na wzgórzu położony, z dalekim widokiem na pola, lasy, na kościół i na całe miasteczko.

Dalszy ciąg nastąpi.



BAJKA O MEWIE.

Z cyklu: „Tworzenie świata”.

Lotosy były jej tronem.

Szczęśliwość promienna z jej oczu płynęła na kraj, którym rządziła. W oczach modrych, pełnych zadumy i piękna, kryły się czary upojenia i pieśni — bajki miłości zawrotnej. Kto raz w nie spojrzał — na wieki przestał istnieć dla siebie. Jedynie dla Niej — Maharani*) Mewy.

Tak płynęły lata...

Aż razu pewnego zbudziło się serce Maharani: zaczęło tęsknić do szczęścia — kochania, które, jako miraż, jest złudne. Odtąd Mewa — mimo skarbów serca i duszy — nie mogła zaznać ukojenia marzeń... Tęsknota na czemś nieznanem, pełnem czarodziejskich splotów, z każdym wschodem i zachodem słońca coraz głębiej zlobiła niepokój w jej jaźni. Lica z każdym przeblyskiem dnia nabierały coraz większej zadumy, a oczy — smutku. Smutek ten wkrótce mocą siły tajemnej udzielił się wszystkim. Odtąd ptaki nie tak radośnie i dźwięcznie hejnały śpiewają, kwiaty nie w takie pastelowe, jak z bajki wysnute, barwy stroją swe kielichy, a lotosy, brzemienne w smutek Maharani, zaczęły ciężko ku taflom wodnej klonić swe egzotyczne listowia. Trwoga udzieliła się również poddanym Mewy. Odtąd śpiewu i wesela nie zaznał kraj, skąpany w słońcu. Taka tęsknota biła odeń, że aż sam surowy Bóg Wschodu, Brahma, się przeraził.

Rozkazał Mewę przywołać przed siebie.

Maharani w zwojach muślinowych, które miękko tuliły się do jej kibici, zda się, chciały ukoić serce i duszę swej pani, w tęsknej zadumie stanęła przed Bogiem. Na opalowych jej licach nawet rumieńce nie zagrały. Taka żałość chwyciła za serce Brahmy, że strwożony rzekł:

— Mewo, co się stało z Tobą? Czy kwiaty już nie mają dla ciebie woni upajającej, czy poddani przestali Cię uwielbiać i kochać, czy gwiazdy szmaragdem się nie mienia, czy słońce nie tak jasno świeci? Mów, Mewo!

— Nie, Panie Najwyższy, groźny, srogi i łaskawy. Kwiaty nadal mają barwy precudne i woń upajającą, żaden z poddanych nie przestał uwielbiać i kochać, słońce, jak dawniej, jasno świeci, a gwiazdy w sny szmaragdowe spowite...

— Więc co się stało?

— Panie, dokąd żyłam szczęściem kraju, kwiatów, ptaków i poddanych — było mi dobrze. Nie wiedziałam, co to jest niepokój. Lecz po co dałeś mi serce? Gdy się ono zbudziło i zaczęło ża-

dać szczęścia — kochania — już mi było gorzej, jednak skarżyć się wówczas jeszcze nie mogłam... Łudziłam się... Ale szczęścia całkowitego jaźni ma nie znała. Odtąd zaczęłam wątpić w lepsze przeznaczenie dla siebie. A za zwątpieniem straciłam wiarę i ze smutkiem dusza ma śluby wieczne wzięła.

Na czole Brahmy głębokie zmarszczki się zjawily. Bóg zrozumiał, że dla Maharani niema już zbawienia i ratunku, gdyż w bezbrzeżnem zwątpieniu o lepszej doli dla siebie leży kres miłości, piękna i radości. Więc że lubił Mewę, jako najukochańszy twór swój, postanowił skrócić cierpienia stęsknionej, by dać jej pokój a ludziom naukę.

Rzekł:

— Mewo, ciężkie doświadczenie na cię spadło. Zważyłaś w szczęście — kochanie — przeto nie doznasz już żadnego przeblysku słonecznego. Radość

643
i śmiech — uczucia, które do niedawna tak szczerze nieciłaś wokół siebie, — będą ci nieznane, bo już nie zaznasz upragnionego spokoju. Lubię cię, więc nie mogę zezwolić, byś zmarniała w smutku i zwątpieniu. Lecz smutku tego nie pozabawie, byś mogła mieć chociaż złudę szczęścia. Dam Ci przestwór niebotyczny, będziesz bujać tam bez granic prawie, będziesz w szalonych z morskimi wiatrami zawodach, skąpana w perłach rozpienionych fal morskich szukać szczęścia i... tęsknić. Tęsknota taka zabije zwątpienie i będziesz szczęśliwą. Będziesz ptakiem — Mewą.

Odtąd, gdy jutrznie powstają i słonko zachodzi, gdy wiatry zawodzą i burze grają, — ptak-Mewa wciąż buja nad rozłogami srebrzystych fal morskich, gdyż we wzlotach nerwowych mimo zwątpienia szuka szczęścia w tęsknocie...

Józef Jastrzębiec-Mańkowski.

Z literatury powojennej.

(„Zielona twarz“ Gustawa Meyrinka).

To, co się dzieje dokoła nas, to, co widzimy, słyszymy, to, co czytamy, a czego nawet nie zdołamy zrozumieć całkowicie; każdy pocisk, który trafia lub chybia, jęk każdy i od jęku straszniejsze milczenie — wszystko to, czemu na imię wojna, wypełnia życia naszego dzień wczorajszy, dzisiejszy i jutrzejszy.

Straszniejszą od gorączkowych halucynacji, groźniejszą od najpotworniejszych zwid, przykrejszą od dziwacznych snów jest ta rzeczywistość. Ona wali obuchem, ona łamie i niweczy, ona przemawia okrutnym głosem, kieruje nami i nas chłonie.

Rzeczywistość przemawia przez literaturę i sztukę, bo nią żyjemy i jej szukamy. A i wtedy, gdy uciec pragniemy przed jej grozą, gdy wytwarzamy sobie wyłomy w rzeczywistości, oazy marzenia — rzeczywistość powraca stokroć silniejsza i groźniejsza, bo jest ona nietylko dokoła nas, ale przedewszystkiem w nas samych.

Te straszne zjawy, okropne upiory pozostaną długo jeszcze w życiu naszym, niby tłoczące zmory. Kiedy się ich pozbedziemy, kiedy radośnie wrócimy do życia? Trzeba będzie wprzódki wypłakać stare oczy, ażeby młode, świeże i ze świeżym uśmiechem spoglądać na świat.

A czy będzie można spoglądać ze świeżym uśmiechem? Czy na-

dzieja, że gdy wojna się skończy, to pokój zapanuje i w sercach, nie jest płoną? Czy nie będzie stokroć gorzej. Czy z oparów krwi nie powstaną nowe upiory; czy te wszystkie zmory, zmiłkłe podczas wojny, nie przebudzą się; czy gdy przebrzmi straszna rzeczywistość, nie odezwa się gorsze majaki, czy wreszcie nie okaże się, że ta ofiarna wojna nie była także jednym z upiorów życia?

Czem żyć będziemy potem, co nas powoła do nowego życia, co nas obudzi do czynu, co porwie, co zainteresuje — nad tem zastanawia się w najnowszej książce Gustaw Meyrink.

Pyta na pierwszych kartkach, a już na następnych daje odpowiedź.

Fantastyczny dramat powieściowy Meyrinka rozgrywa się już po wojnie, „która rozszarpała ludzkość na dwa obozy wzajemnie się zrozumieć nie mogące. Jedni spojrzeli w otchłań piekła i przez całe życie nieść będą w sercu ten straszny obraz. Dla drugich wojna była tylko „literaturą“. Otóż o przełamaniach wewnętrznych tych drugich, o dramatach nie związanych z rzeczywistością mówi autor. A dramaty te, które rozsnuwają się w powieści „Zielona twarz“, poczęte są wyłącznie w fantazyi autora. I nie na skrzydłach marzenia niesiony, nie twórcą obrazów szalonych jawi nam się poprzez dzieło Meyrinka, ale on sam zdaje się trwać

*) Maharani — księżna indyjska.

w lęku i grozie; jego samego ogarnia trwoga przed upiornymi wizjami o władającymi jego duszą.

Powieść Meyrinka — jeżeli powieścią nazwać można tę dziwną książkę, w której ujęte są najrozmaitsze fragmenty myśli ludzkiej, próby filozofii i nowej religii, mającej ułatwić życie — dzieje się w Amsterdamie, w tem mieście, które jakoby jest ojczyzną legendy o żydzie wiecznym tułaczem. Ta legenda stała się punktem wyjścia powieści. Autor zmienił jej symbolikę: ów wieczny tułacz, człowiek, a raczej maska człowieka o zielonej, oliwkowej twarzy, czarnej przepasce na czole i niezgłębionych oczach, ma coraz to inne znaczenie. Niby upiór pojawia się wszystkim bohaterom i zespala ich losy w krąg konieczności, ciążąc nad ich życiem, to jako zły, gniewny i mściwy bóg, to jako dobry i jasny duch.

Pierwszą ofiarą „Zielonej twarzy” jest młody cudzoziemiec (kto wie, czy nie sam autor), Hauberisser. Dotychczas, jako przeciętny, kulturalny, inteligentny Europejczyk, wniósł życiu i swoją część wielkiej bezcelowości (*jeder brinkt sein Teil zur grossen Zwecklosigkeit*). Lecz oto nagle ukazuje się upiorna maska, we śnie i na jawie wszędzie ją dostrzega. „Czy śnię? — zapytuje Hauberisser siebie samego. — Cóż to było? Azali przez każde życie snuje się nic dziwnych przypadków, czy też jestem jedynym, któremu się zdarza coś podobnego. Czy ogniwa przypadków chwytają się wzajemnie i tworzą łańcuch wtedy dopiero, gdy ich związek człowiek nie ma, samemu tworząc plany i pragnąc samemu kierować swoim losem?”

Ci, którzy ujrzeni „Zieloną twarz”, tracą władzę nad własnym życiem. Cokolwiek czyni Hauberisser, dzieje się za wolą upioru, który go wziął w swe ciemne moce. A czem jest ten upiór — jeżeli nie wewnętrznym obliczem człowieka, który sam dostrzegł się po raz pierwszy. A czem jest to wewnętrzne oblicze — jeżeli nie częścią wieczystego życia. Tem wiecznym pokutującym w nas życiem jest — „Zielona twarz”. Trzeba jej śmiało spojrzeć w oczy, trzeba nauczyć się patrzeć na nią, iżby nie była tylko upiorem, lecz z czasem stała się symbolem wiecznie zielonego drzewa życia.

Tę drogę ku wiecznemu życiu odbywają wszyscy bohaterowie Meyrinka. Dla osiągnięcia celu trzeba Hauberisserowi towarzyszek. Tą towarzyszką będzie precudna Ewa, którą Hauberisser ujrzy, pokocha i której miłość posiedzie — a którą w

życiu utraci, by posiąść w wieczności.

Oto co powie mu „Zielona twarz” gdy, zrozpaczony, stoi nad trupem Ewy i sam śmierci pragnie.

— Pragnąłeś przemijającej miłości, dałem ci ją, bom nie został na ziemi, by brać, ale by dawać każdemu to, za czem tęskni. Lecz nie wiedzą ludzie, za czem tęskni ich dusza. Gdyby wiedzieli, czego pragną, byli by jasnowidzącymi.

W cudownym sklepie życia szukałeś nowych oczu, któreby wszystko w innem widziały oświeceniu — czyż nie powiedziałem ci, że trzeba wypłakać stare oczy, zanim spojrzysz nowemi.

Dażyłeś do wiedzy, dałem ci jej jądro, dałem ci świadomość wszystkiego.

Ewa tęskniła za nieprzemijającą miłością, dałem ją jej — i dam ją tobie. Miłość przemijająca jest miłością upiorną.

Gdy widzę na ziemi kielkującą miłość, miłość, która wyrasta ponad zwykłe upiory uczucia, to kładę na nią dłoń me, niby świetlane gałęzie, i bronię przed śmiercią. Bo nie jestem tylko marą o zielonej twarzy, ale i wiecznie zieleniącem się drzewem.

W to wszystko wierzy głęboko Meyrink — i wiarą swą książkę o

„Zielonej twarzy” czyni mocną i poważną. Wszystkie myśli, marzenia poetyckie mają u niego konkretną formę obrazów, które się narzucają czytelnikowi. Jak zjawy sennie, to wyraźne i dobitne, to gubiące swe kontury i zacierające się, by ustąpić miejsca następnym wizjom, przesuwają się kolejno bohaterowie i bohaterki tej opowieści. Dziwny korowód żywych upiorów. Ale do najpiękniejszych kart tej książki i do najtrwalszych należą te o Ewie. Początkowo staje ona wobec życia — przed życiem czując, nie przed śmiercią trwogę. Następnie wobec człowieka, którego kocha, staje jako niegodna i żebraczka. Owłada nią najdelikatniejsze, a jednak najgłębsze cierpienie, którego przyczyną jest przeświadczenie, że z pustymi rękami idzie do ukochanego. A przecież pragnie mu dać szczęście. Niema poświęcenia, jakiegoby jemu nie przyniosła w ofierze.

— To, co wprzód było niezrozumiałem, dzisiaj pojmuje; gorzki żal człowieka, który w chęci dawania jest królem, a w możliwości dawania czuje się tylko żebrakiem, przejął ją dręszcem. Ten sam żal pchnął na drogę martyrologii świętych tej ziemi. — Z uśmiechem radosnym obiera Ewa męczeńską drogę. Towarzyszy jej niezłomnie Meyrink, bo — wierzy.

H. Jelenkiewicz.

ANTONI PILECKI.

Moc smartwychwstania.

Nie po to tchnienie zbudziło cię boże,
Aby nam uśtać zimne śmierci tożę;
Lecz po to grobu rzuciłeś otchłanie,
Aby usłyszeć serc naszych wołanie.

Zejdź z wyżyn swoich! — zejdź na pola nasze,
Na stare mury, na nędzy poddasze!
I chodź w dal tęskną stopami bożemi!
Chodź po tej smutnej, po tej naszej ziemi! —

Nie po to, Chryste, byś zbierał w swą urnę
Łzy nasze gorzkie i dumania chmurne,
Lecz byś zawołał: — Spójrzcie na mą ranę!
Na krzyżu zmarłem, a z grobu powstanę...

Przyjdzie dzień jasny... o, przyjdzie dzień boży:
Da mi moc ducha i grób mój otworzy...
Tak i nad wami zabłyśnie dzień trzeci,
I biały orzeł w wyżyny uleci...



W oczach Zachodu.

13

POWIEŚĆ.

Pomogłem tym paniom wsiąść do tramwaju i otrzymałem zaproszenie na podwieczorek. To jest, przynajmniej pani Haldin zaprosiła mnie na wsiadanie, a Natalka stojąc na platformie uśmiechnęła się pobłażliwie do tępego Zachodniowca. Światło jasnego, zimowego przedpołudnia odbijało się miękko w jej szarych oczach.

Opowieść pana Razumowa, niby otwarta księga przeznaczenia, ukazuje mi wspomnienie tego dnia w oświeceniu dziwnie bezlitosnem, ze względu na jego pogodny, zgola nie złego nie przeczuwający nastrój. Wiktor Haldin żył jeszcze, ale jedynym łącznikiem tej jego egzystencji z życiem było oczekiwanie śmierci. Myśli jego musiały krążyć wciąż około jego ziemskich ukochań w tych godzinach uporczywego milczenia, które miały się dlań przeciągnąć w wieczność. A te panie tego dnia przyjmowały więcej, niż zazwyczaj osób i salonik ich na parterze wielkiego domu przy Boulevard des Philosophes był przepelniony.

Przetrzył wszystkich gości, a gdy wstał, panną Haldin wstała także. Wziął jej rękę i bezwiednie prawie podjąłem naszą ranną rozmowę na ulicy.

— Przypuśćmy, że my zachodniowcy nie rozumiemy charakteru waszego narodu — zacząłem.

Ale ona, jakby przygotowana w jakiś tajemniczy sposób na ten wstęp, przerwała łagodnie:

— Jego popędy, jego... — zaczęła szukać określenia i znalazła je, ale po francusku — jego *mouvements d'âme*.

— Bardzo dobrze — rzekłem — ale mimo to zatargi istnieją. Powiadasz pani, że to nie są zatargi klasowe, ani zatargi interesów. Przypuśćmy, że i na to się zgadzam. Ale czy łatwiej przez to wręcz przeciwnie sobie idee dojdą do porozumienia; czy krew i gwałty zjednoczą je w tę zgodę, którą, według pani, jest tak blizką?

Popatrzyła na mnie badawczo swemi szaremi oczyma, nie odpowiadając na to rozsądne, trzeźwe pytanie.

— To nie do pojęcia — dodałem z pewnem rozdrażnieniem.

— Wszystko jest nie do pojęcia — odrzekła. — Cały świat jest

nie do pojęcia dla ścisłej logiki myśli. A jednak świat istnieje i my na nim. Musi być jakaś konieczność wyższa nad nasze pojęcia. Bardzo to nędzna i fałszywa rzecz należeć do większości. My rosyjanie, znajdujemy sobie jakąś lepszą formę narodowej wolności, niż sztuczne, partyjne zatargi, które są w gruncie rzeczy jedynie godne pogardy, a jako sztuczne niczego stworzyć nie zdołają. Nam, rosyjanom, sądzono jest znaleźć lepszą drogę.

Pani Haldin, która wyglądała przez okno, zwróciła ku mnie pogodnie spojrzenie swych wielkich ciemnych oczu.

— Tak myślą moje dzieci — rzekła.

— Pani zapewne zgorszy się — rzekłem do panny Haldin — jeżeli powiem, że nie zrozumiałem, nie to jakiegoś słowa, zrozumiałem wszystkie słowa, ale... Bo jakąż będzie ta era bezcielesnej zgody, której pani wyglądasz? Życie jest rzeczą formalną. Ma ono swój plastyczny kształt i swój ściśle określony intelektualny wygląd. Najbardziej idealistyczne pojęcia miłości i przebaczenia muszą się przyodziać w ciało, jeżeli mają być zrozumiałe.

Pożegnałem się z panią Haldin. Natalia przeprowadziła mnie bardzo uprzejmie do drzwi.

— Mama wyobraża sobie, że jestem niewolniczem echem mego brata Wiktora. Ale tak nie jest. On mnie rozumie lepiej, niż ja jego. Gdy go pan poznasz, przekonasz się, jaka to wyjątkowa dusza. — Umilkła na chwilę. — Nie jest to człowiek silny w utartem znaczeniu tego słowa — dodała — ale to charakter bez skazy.

— Myślę, że nie będzie mi trudno zaprzyjaźnić się z pani bratem.

— Nie sądz pan, że go zrozumiesz zupełnie — rzekła z pewną przekorą. — On w gruncie rzeczy nie jest wcale... wcale Zachodniowcem.

Po tej zbytecznej przestrodze skłoniłem się jeszcze raz i wyszedłem. Cień autokracji wślizgnął się do wolnej, demokratycznej Genewy i padł na dzielnicę zwaną „La Petite Rusie”. Bo gdzie tylko dwóch rosyjan się zejdzie, cień autokracji pojawia się na trzeciego, zabarwiając ich myśli, ich poglądy, ich najtajniejsze uczucia, ich prywatne życie, ich

publiczne wystąpienia, nawet ich milczenie. Upłynął tydzień, w ciągu którego zastanawiało mnie milczenie tych pań. Spotkałem je spacerujące w publicznym ogrodzie w pobliżu uniwersytetu. Witają mnie ze zwykłą przyjacielską życzliwością, ale były dziwnie małowówne. W trakcie tego wiadomem już było, że sprawca zamachu na prezesa ministrów został schwytany, osadzony i stracony. Ale nie wiem dotąd, dla jakiej urzędowej przyczyny nazwisko jego trzymane w tajemnicy.

Pewnego dnia spotkałem pannę Haldin spacerującą samotnie w obnażonej z liści alei.

— Mama jest niezdrową — oznajmiła mi.

Ponieważ, o ile wiedziałem, pani Haldin nigdy w życiu nie chorowała, był to objaw niepokojący. Tembardziej, że nieokreślony.

— Zdaje mi się, że mama dręczy się brakiem wiadomości od mego brata. Dawno już nie pisał.

— Żadnych nowin, dobre nowiny — rzekłem pocieszająco i zaczęliśmy iść zwolna obok siebie.

— Nie w Rosyi — szepnęła tak cicho, żem ledwo dosłyszał. Spojrzałem na nią uważniej.

— Pani się także niepokoi? Po chwili wahania, przyznała, że tak.

— Bo istotnie tak już dawno nie miałyśmy...

I nim zdążyłem pospieszyć z jakąś banalną pociechą, zwierzyła mi się:

— Och! To nietylko to. Pisałam do pewnej znajomej rodziny w Petersburgu. Nie widzieli go od miesiąca. Myśleli, że jest już tutaj. Byli nawet obrażeni trochę, że wyjechał bez pożegnania. Mąż mojej znajomej zaszedł raz do niego. Powiedziano mu, że się wyprowadził, nie zostawiając adresu.

Tu głos jej się złamał; lecz wnet dodała jeszcze, że brat jej przestał uczęszczać na wykłady i tylko od czasu do czasu zjawiał się u szwajcara uniwersytetu po listy. I jak się ów pan dowiedział, już się po dwa ostatnie listy nie zgłosił. Ale policja przyszła z zapytanem, czy student Haldin otrzymywał jaką korespondencję w uniwersytecie i zabrała te listy.

— Moje dwa ostatnie listy — szepnęła panna Haldin.

Spojrzelśmy na siebie. Trochę śnieżnych płatków zawirowało pod obnażonemi gałęziami. Niebo było ciemne.

— Jak pan; myślisz, co się stało? — spytałem.

Wzruszyła zlekka ramionami.

— Kto to może wiedzieć — w Rosyi.

I w tej chwili, po raz pierwszy z taką wyrazistością ujrzałem cień autokracji ciążyący na życiu rosyjan zarówno w ich poddaństwie, jak w ich buncie. Ujrzałem, jak przesłonił tę piękną twarzyczkę w obramowaniu futrzanego kołnierza, i jej jasne, szare oczy, tak mocno błyszczące w posępnem świetle chmurnego popołudnia.

— Pójdźmy — rzekła. — Zimno mi.

Wstrząsnęła się zlekka. Poszliśmy szybko do końca alei i z powrotem do wielkiej, ogrodowej bramy.

— Powiedziała to pani mamie? — zagadnąłem.

— Nie; jeszcze nie. Wysłałam z domu pod wrażeniem tego listu.

Zaszeleściła w mufce papierem.

— Czego się pani obawiasz? — zapytałem.

Nam europejczykom Zachodu wszelkie polityczne spiski wydają się czemś dobrem dla teatru lub w powieści.

— Dla nas, zwłaszcza dla mojej matki, lękam się niepewności. Ludzie znikają. Tak, znikają. Możesz pan wyobrazić sobie, co to jest ta okrutna niepewność całych tygodni — miesięcy — lat... Ów nasz przyjaciel zaprzestał swoich poszukiwań, dowiedziawszy się, że policja zabrała jego listy. Zapewne zląkł się skompromitowania... I nie dziwnego. Ma żonę, dzieci, a nie posiada wpływowych stosunków i nie jest bogaty. Cóż mógł uczynić? Tak; lękam się milczenia dla mojej biednej mamy. Ona go nie zniesie. Dla mego brata lękam się... głos jej stał się ledwo dosłyszalnym... wszystkiego!

Doszliśmy do bramy naprzeciwko teatru. Panna Haldin ożywiła się.

— Ale ludzie, których ślad chwilowo zaginął, odnajdują się nawet w Rosyi. Wiesz pan, czego się pomimo wszystkiego spodziewam? Oto, że lada chwila ujrzymy go wchodzącego do pokoju.

Uchyliłem kapelusza, a ona wyszła z ogrodu gibka i pełna wdzięku, skinąwszy mi głową na pożegnanie, z rękami w mufce, ściskającami okrutny, petersburski list.

Wróciwszy do domu, otworzyłem dziennik, który odbierałem z Londynu, i spojrzawszy na korespondencję z Rosyi — nie na telegramy, lecz na korespondencję — pierwszą rzeczą, jaką zobaczyłem, było nazwisko Haldina. Śmierć prezesa ministrów nie była już aktualnością,

ale przedsiębiorczy korespondent wyszperał skądś nazwisko sprawcy zamachu i okoliczności, w jakich go zaaresztowano, że jednak z dziennikarskiego punktu widzenia, uważał sprawę za poniekąd przebrzmiałą, poświęcił jej zaledwie kilkanaście wierszy.

Wystarczyły one jednak, aby mnie przyprawić o bezsenność. Zrozumiałem odrazu, iż nie mogę dopuścić, aby ta wiadomość, którą niewątpliwie powtórzą wszystkie poranne szwajcarskie i francuskie dzienniki, spadła na te nieszczęśliwe kobiety bez przygotowania. Ale jak im to powiedzieć?... Myślałem nad tem przez całą noc, przewracając się na łóżku i znalazłem się nazajutrz o niemożliwie wczesnej godzinie u ich drzwi nie wymyśliwszy.

Służąca w średnim wieku wprowadziła mnie do saloniku, gdzie stała oparta o krzesło szczołka, a ściereczka leżała na stole. Pyłki tańczyły w słońcu; ja zaś pożałowałem raptem, że zamiast przychodzić tutaj, nie napisałem poprostu. Ale już było zapóźno. Panna Haldin w czarnej, gładkiej sukni wyszła z pokoju matki z niepewnym uśmiechem na ustach.

Wydobyłem dziennik z kieszeni. Nie byłbym nigdy przypuścił, że numer *Standard'a* może podzielać, jak głowa Meduzy. Panna Haldin skamieniała momentalnie — ale to trwało bardzo krótko. Poczem twarz jej zmieniła się straszliwie... postarzała, zwiędła... I znowu tylko na chwilę.

— Pójdę powiedzieć mamie — rzekła stanowczo.

— Czyż to będzie bezpieczne w jej stanie zdrowia? — zauważyłem.

— A cóż może być gorszego, niż ten stan, w jakim się znajduje od miesiąca? Zresztą my to pojmujemy inaczej. On nie jest zbrodniarzem. Nie sądź pan, że go bronię przed panem.

Poszła ku drzwiom sypialni, poczem wróciła, prosząc mnie szeptem, bym nie odchodził jeszcze. Przez nieskończenie długie dwadzieścia minut najgłębsza cisza panowała za zamkniętymi drzwiami. Wreszcie panna Haldin wyszła lekkim, szybkim krokiem. Doszedłszy do fotela, osunęła się nań ciężko, jakgdyby doszczętnie wyczerpana.

Po chwili powiedziała mi, że pani Haldin nie uroniła ani jednej łzy. Usiadła na łóżku i siedziała tak, milcząca, nieruchoma. Wreszcie położyła się zwolna, i dała znak córce, żeby ją zostawiła samą.

— Przywoła mnie wkrótce — dodała panna Haldin. — Zostałam dzwonek przy łóżku.

Wyznaję, że moje bardzo szczere współczucie nie posiadało, że się tak wyrażę, gruntu. Czytelnicy Zachodu, dla których to piszę, zrozumieją mnie. Brak mi było doświadczenia. Śmierć jest bezlitosnym lupieżcą. Wszyscy znamy ból niepowrotnej straty. Niema tak samotnego życia, któremu uczucie to byłoby obcem. Ale w danym wypadku, stracie, jaką te kobiety poniosły, towarzyszyły ponure okoliczności, nadające jej specjalne rosyjskie zabarwienie, które i na, że tak powiem, kolorystyce mego współczucia odbić się musiało.

Byłem szczerze wdzięczny panie Haldin, że nie utrudniła jeszcze bardziej mego położenia uzewnętrznieniem swych uczuć. Podziwiałem jej panowanie nad sobą, tak wielkie, że aż zatrważające. A nuż przeciągnięta struna pęknie? Nawet te zamknięte drzwi, za którymi stara, osierocona matka pozostała samotnie, miały w sobie coś przerażającego.

Nareszcie Natalia Haldin szepnęła smutnie:

— Pan zapewne nie zdaje sobie sprawy z tego, co ja czuję?

Było to szczerą prawdą i ta nieświadomość paraliżowała poniekąd moje współczucie. Wybelkotałem coś, że dla młodych życie ma zawsze w zapasie nieprzewidziane pociechy i kompensaty. Ma też obowiązki... ale o tych nie potrzebuję jej przypominać.

Panna Haldin miała nerwowo chustkę w rękach.

— Nie zapomnę o mojej matce, to pewne — rzekła. — Ale było nas troje... A teraz jesteśmy dwie... kobiety, same. Mama nie jest jeszcze starą... Może żyć długo. A czegoż my się mamy spodziewać od przyszłości? Jakiej nadziei? Jakiej pociechy?

— Musisz pani brać życie z szerszego punktu widzenia — rzekłem stanowczo, pomyślawszy, że do tej wyjątkowej istoty tą drogą właśnie trafić należy. Popatrzyła na mnie przez chwilę, poczem wstrzymane dotąd łzy popłynęły strumieniem po jej bledziutkiej twarzy. Zerwała się z fotela i stanęła plecami do mnie przy oknie.

Nie próbowałem nawet zbliżyć się do niej i wyszedłem po cichu. Nazajutrz służąca powiedziała mi w drzwiach, że pani Haldin ma się lepiej. Dodała też, że dużo osób — rosyjan — przychodziło poprzedniego dnia, ale panna Haldin nie widziała się z nikim.

W dwa tygodnie potem, gdym, jak zwykle, zgłosił się po wiadomo-

ści. poproszono mnie, bym wszedł. Pani Haldin siedziała na zwykłym miejscu przy oknie, i na pierwszy rzut oka mogło się zdawać, że nic się nie zmieniło. Gdy podała mi rękę, podniosła na mnie swe czarne oczy, ale nie było już w nich zwykle, łagodnego uśmiechu i dziwnie słabym, bezdźwięcznym głosem spytała:

— Nie było nic więcej w pańskich gazetach?

Puściłem jej długą, wychudzoną rękę i wstrząsnawszy głową przeżęco, usiadłem.

— Prasa angielska jest nadzwyczajna. Nic się przed nią nie ukryje, a przez nią i przed całym światem. Ale nasze rosyjskie nowiny nie zawsze łatwo zrozumieć. Nie zawsze... angielskie matki nie oczekują takich nowin...

Dotknęła ręką numeru *Standard'a*, który leżał obok niej na stole.

— My również mieliśmy tragiczne czasy w naszej historii — zauważyłem.

— Dawno. Bardzo dawno.

— Tak.

— Są narody, które zawarły ugodę z przeznaczeniem — rzekła panna Haldin. — Nie mamy im czego zazdrościć.

— Pocóż ta pogarda? — rzekłem łagodnie. — Być może, iż nasza uгода nie jest wielce szczytną. Ale cenna uświęca warunki, jakie ludzie i narody otrzymują od Przeznaczenia.

Pani Haldin odwróciła głowę i czas jakiś patrzyła przez okno, tem nowem u niej wygasłem, tępem spojrzeniem, które z niej tak zupełnie inną kobietę uczyniło.

— Tak pan myślisz — zagadnęła nagle — czy ten anglik, ten korespondent znał mego syna?

Odpowiedziałem, że, oczywiście, było to możliwe; ona zaś zauważywszy moje zdziwienie, szepnęła:

— Gdyby się wiedziało, jakiego to rodzaju człowiek, możnaby do niego napisać.

— Mama myśli — objaśniła panna Haldin, stojąc pomiędzy nami z ręką na poręczy mego krzesła — że mój biedny brat nie próbował może ocalić się.

Jeszcze bardziej zdziwiony spojrzałem współczująco na pannę Haldin, ale ona patrzyła spokojnie na matkę. Ta zaś rzekła:

— Nie mamy adresu żadnego z jego kolegów ani przyjaciół w Petersburgu. Miał mnóstwo przyjaciół, lecz mało o nich mówić. Łatwo

jednak można się było domyśleć, że był dla nich wyrocznią i że go uwielbiali. Ale on był tak skromny... I to tak dziwnie, że wśród tylu od-danych...

Odwróciła znów głowę i patrzyła na Boulevard des Philosophes, po-sepną i zakurzoną ulicę, na której w tej chwili widać było tylko jakąś dziewczynkę, skaczącą na jednej nodze, dwa psy, a w dali robotnika, prowadzącego bocykl.

— Nawet wśród Apostołów znalazł się Judasz — szepnęła panna Haldin, jakby do siebie, ale z widocznym zamiarem, żebym usłyszał.

Przez ten czas nadeszło kilka osób, i wszyscy rozmawiali pomiędzy sobą po eichu, spoglądając ku nam. Pożegnałem się wkrótce, a panna Haldin odprowadziła mnie do przed-pokoju.

— Ludzie odwiedzają nas — rzekła. — Nie możemy przecież zamykać się ciągle przed nimi.

I gdy m kładł palto, zaczęła mówić mi o matce. Biedna pani Haldin łaknęła wiadomości. Chciała usłyszeć coś więcej o swym nieszczęsnym synu. Nie mogła zrozumieć, dlaczego nie ratował się ucieczką, jak się to tylu innym rewolucjonistom i spiskowcom w podobnych wypadkach udało.

Jakim sposobem tajemne rewolucyjne organizacje okazały tyle niedołęstwa w stosunku do jej syna?

Ze słów panny Haldin wyrozumiałem, że nieszczęśliwa matka ułożyła sobie, że syn jej zginął, bo nie chciał się ocalić. Ale dlaczego? Czyżby zwątpił o przyszłości swojego kraju? To było niepodobieństwem. Czyżby jego matka i siostra tak bardzo nie umiały zjednać sobie jego zaufania, i czyżby spełniwszy to, co spełnić musiał, stracił wiarę i uległ zniechęceniu?

— Myśmy byli tak ściśle zespoleni — rzekła panna Haldin splatając palce obu rąk; poczem rozplotła je zwolna, patrząc wprost na mnie.

— Oto co moja biedna mama wynalazła, żeby udrećcać siebie i mnie przez całe te długie lata, które leżą przed nami — dodała posepnie. — Pan rozumie chyba, jakie to straszne...

Zapewniłem ją z najszczerzszym współczuciem, że byłoby to istotnie rozpaczliwe. Panna Haldin zachwyciła powietrza w piersi.

— A te wszystkie dziwne szczegóły w angielskim dzienniku? — wykrzyknęła nagle. — Co one znaczą? Chyba są prawdziwe? Ale jakże to okropnie pomyśleć, że mego biednego brata schwytano, gdy

blakał się nocą po ulicach, jak człowiek zrozpaczony...

Staliśmy tak blisko siebie w ciemnym przedpokoju, że dostrzegłem, jak przygryzła sobie dolną wargę, zapewne, aby stłumić suchy łkanie, po chwili rzekła:

— Podsunęłam mamie myśl, że może zdradził go jakiś fałszywy przyjaciel, lub poprostu tchórz. Lżej jej będzie, gdy w to uwierzy.

Zrozumiałem teraz aluzję tej biednej kobiety do Judasza.

— Tak; będzie jej lżej — przyznałem, zachwycony w duchu trafnością i subtelnością tej wyjątkowej dziewczyny. Obchodziła się z życiem, jakgdyby ukształtowała je dla niej polityczne warunki jej bytu, taksując je miarą nie swoich chorobliwych przywidzeń, lecz okrutnej rzeczywistości. A ona dodała z prostotą:

— Podobno czas łagodzi wszystkie bóle. Ale nie mogę uwierzyć, żeby miał władzę nad wyrzutami sumienia... Lepiej więc, niech mama myśli, że ktoś przyczynił się do śmierci Wiktora, niż żeby miała przypisywać ją słabości syna lub własnej winie.

— Ale pani... co pani przypuszczasz? — zacząłem.

Zacisnęła usta i potrząsała głową. Poczem rzekła, że nie żyję złych myśli względem nikogo i że może wszystko to, co się stało, było potrzebnem. Po tych słowach wymówionych cicho i brzmiających tajemniczo w mrocznym przedpokoju rozstaliśmy się. Uścisk jej kształtnej ręki miał w sobie coś niewysłowienie ujmującego i szczerzego. Nie wiem doprawdy, dlaczego panna Haldin okazywała mi tyle przyjaźni. Może zdawało jej się, że rozumiem ją lepiej, niż było w istocie, gdyż najdobitniejsze z jej określeń miały zawsze dla mnie coś zagadkowego. A może ceniła moje współczucie i milczenie. Bo że nie zwierzała się przedemną dla zasięgnięcia rady, to było jasnem, i nigdy też o nią nie prosiła.

Dalszy ciąg nastąpi.



Z literatury.

Ody Horacyusza.

Wydano znów w dobrym przekładzie polskim Lucjana Siemieńskiego „Ody Horacyusza”. Wstęp napisał wyborny i wytworny znawca świata hellenistycznego i rzymskiego, prof. K. Morawski. Dla miłośników łacińskiej kultury jest to miły upominek. Bo jednak te spokojne, w umiarze harmonii trzymane Ody są perłami liryki wszechczasów. Czyta się je i dziś z dużym wzruszeniem estetycznym, nie mówiąc o tem, że kryją w sobie wiele ludzkiej mądrości. Oda trzdziesta czwarta „Parcus Deorum cultor et infrequens” jest jedną z tych pieśni ludzkich, której tomy powinny być szczepione, bo zawierają taki stary a tchnący poszumem mądrości wieków morał, jak:

„Dumne wielkości Bóg poniża czasem
A w górę dźwiga proch upokorzony;
Jednym fortuna z niezmiernym hałasem
Zrywa a drugim rozdaje korony”.

Wogóle w odach Horacyusza znaleźć można wiele spokojnego, dalekowiążącego wdzięku. Prof. Morawski o odach tych powie:

„Może się ktoś w nich niekiedy dopatrzeć pewnej mroźności, płynącej z inspiracji dworskiej, może się uśmiechnięmy, kiedy Horacy, zatwardziały celibatu zwolennik, modlić się będzie w Carmen saeculare po myśli Augusta do bogini Diany o najobfitsze błogosławieństwo w dzieciach dla przetrzebionych rodów rzymskich. Ale mimo tego znajdujemy w tych odach akcenta silne, męskie, świadczące, że jakies wielkie tchnienie dziejowe powiało nad wszelkimi synami epoki, nawet nad tymi, co do Epikura zaliczali się trzody”.

Poezyę łacińską obmierzili nam nasi profesorowie gimnazjalni. Wymawiali cudne wiersze na modłę gwary kazańskiej czy kurskiej. Warto więc w wieku męskim wrócić do tych skarbów.

Liryki powstańcze z lat 1830—31.

Czterech poetów-żołnierzy przypomina rycerski bój nierównej walki z moskalami w latach 1830—31. Garczyński, Gosławski, Goszczyński i Gaszyński stają do szlachetnego turnieju walki o serca rodaków dla wspomnień tragicznych a tak świetlanych. Garczyński z Rzymu przyjechał, by stanąć w szeregu. Walczył, jako szeregowiec, w polu zdobył szarżę porucznika. W sonetach wojennych, poświęconych gen. Umińskiemu, wyśpiewał grozę i poezję wojny. Maurycy Gosławski zbiegł z szeregów rosyjskich i jako podporucznik legii litewsko-ruskiej brał udział w bohaterskiej obronie Zamościa. Gorące jego śpiewki na nutę mazura o gen. rosyjskim Suchozanecie, co to w bitwie grochowskiej miał połamane nogi, jednały mu serca pokoleń. Belwederczyk Seweryn Goszczyński

ski hymnem 29 listopada, marszem „Za Bug”, „Północną pobudką”, „Duchem Kosyniera”, wreszcie smętnem „wyjściem z Polski” przypomina koleje tej dziwnej wojny. Konstanty Gaszyński, porucznik saperów przy korpusie Gielguda, wiersze swoje składał już ze wspomnień i dlatego zamieszczono je zapewne na miejscu ostatniem w zbiorze. Wydawca z Gaszczyńskiego wybrał „Zajęcie Rosien przez powstańców”, „Śmierć gen. Sowińskiego”, „Śmierć żołnierska”, „Rzeź Szumiańska”, „Olszynę Grochowską”, „Czarną sukienkę”, „Do matki polki”, „Usque ad finem”, „Polskę” oraz „Narodową nutę”. Wydawcą tym jest p. Aleksander Słapa. Do popularyzacji tych pisarzy posłuży zapewne zbiorek ten znakomicie. W Królestwie bowiem autorów tych znano tylko ze strony ich działalności pisarskiej na polu rodzimej erotyki.

Miłości na chwałę czy w ofierze.

Tom szkiców, nowel, obrazków, projektów powieściowych przedwcześnie zmarłej Krystyny Chełmickiej pokazuje nam oblicze pięknej indywidualności ludzkiej, pełnej idealizmu i snów promiennych. W dwudziestym szóstym roku sądzone jej było zamknąć powieki na zawsze. W Lubelskim ś. p. Krystyna Chełmicka wśród okolicznego obywatelstwa posiadała wyrobioną reputację człowieka niezwykle uspołecznionego i dobrego patrioty. Z pietyzmu dla zmarłej wydano jej próby pisarskie. W próbach tych znać dużą samodzielność umysłu i siłę charakteru. Niektóre z tych szkiców były już drukowane, a nowelka „Wesele” zyskała drugą nagrodę na konkursie „Wielkopolanina” w r. 1911.

Najciekawsze stronicy zbioru należą do opisów „służby sanitarnej” na tyłach armii rosyjskiej. Autorka nie jest zwolenniczką metod politycznych w higienie i zabiegach lekarskich, jakie stosowano przez koła kierownicze narodowej demokracji. Na wyraz jednak nieraz koturnowy zdobywa się ś. p. K. Chełmicka, gdy opisuje, jak przybywają ranni z pola boju i jak odbywa się służba sanitarna w barakach wojska rosyjskiego. Wtedy słowa proste są, jak obrazy dantejskiego piekła. Do historii obyczajów naszych podczas wojny te obserwacje powinny przejść.

Wydawcy czysty dochód ze sprzedaży tej sympatycznej książki przeznaczyli na stypendyum imienia autorki.

Wspominki historyczne.

Znany historyk, p. Ernest Łuniński, wydał tom arcyciekawych prac p. t. „Wspominki historyczne”. W tomie tym znajdujemy interesująco wyświetloną „tragikomedję ucieczki Walezego”, „Ostatnie chwile Jana III”, „Czyn kapitana Brzozowskiego pod Racławicami”, „Misyę de Cachégo oraz cały szereg tak ciekawych charakterystyk, jak „Pani Rekamier”, „Gen. Benedek” lub „Spisek

Smagłowskiego a książę Reichstardu”. P. Ernest Łuniński omawia też „Pośrednictwo austriackie w powstaniu listopadowym” i „Zamach na Rzeczpospolitą krakowską”.

Do poszczególnych prac załączono też ilustracje. Przypiski wskazują na bogate źródła, z których czerpał p. Łuniński, pisząc swoje interesujące prace.

Jako lektura ciekawa a pociągająca „Wspominki historyczne” powinny znaleźć szerokie rozpowszechnienie. Biblioteki szkolne, zrzeszeniowe winny książkę tę zamieścić w swoich księgozbiorach.

Z głosów lądu i morza.

P. Jadwiga Marciniowska, znana poetka i powieściopisarka, wrażenia swoje z podróży do ziemi świętej opisała w tomie „Z głosów lądu i morza”. Podróż po Samaryi, Genezareth, Jerozolimie pod piórem p. Marciniowskiej jawi się, jak baśń zaczarowana i pełna uroku. Poetka patrzy na kolebkę narodzin chrześcijaństwa okiem wzruszonym i czujnym; nie przeszkadza to jej wcale w obserwowaniu świata muzułmańskiego, w zachwycie nad cudami przyrody.

W czas obecny, gdy nie można się ruszyć za rogatki miasta, dobra książka podróżnicza zastępuje poniekąd wiele niemogących się zrealizować tęsknot za krajami dalekimi. Pisana przytem barwnie i zajmująco, napewno zaciekawia wszystkich tych ludzi, których interesują dalekie, egzotyczne krainy. Książka zaś o „Ziemi świętej” powinna zainteresować wszystkie żarliwe serca chrześcijańskie i to tembardziej, że wyszła z pod pióra literatki o ustalonej reputacji.

Śpiewnik Polski.

Nie bardziej aktualnego, jak to wydawnictwo, które z radością powitać musi każdego polak i muzyk.

Każdy pierwszy postarano się, aby zebrać w jedną całość ten dorobek pieśniarstwa polskiego, który jest wyrazem idei politycznych i narodowościowych; po raz pierwszy też podjął się opracowania muzycznego kompozytor prawdziwie powołany, posiadający nie tylko talent wykwintnego harmonisty, lecz zarazem trafne pojęcie swego zadania.

P. Felicjan Szopski, autor akompaniamentów, tak umiał zastosować kunszt harmonii nowoczesnej do swoich piosenek, że w nich nie spacył ich ducha piękności i prostoty, a jednak nastrój ich uszlachetnił i wysubtelnił.

Akompaniamenty Szopskiego mieszczą w sobie pierwiastek twórczy i niekiedy przedstawiają dwufosowe samodzielnych pierwiastków — śpiewu i fortepianu.

Piękna oprawa artystyczna odpowiada i szacie zewnętrznej; wydawnictwo księgarni p. J. Lisowskiej w Warszawie zasługuje pod tym względem na pochwałę.

J. R.

